

Rumuński precedens

Ten felieton nie jest ani pochwałą, ani krytyką unieważnienia przez sędziów wyborów prezydenckich w Rumunii. Za słabo znam, a już z pewnością niewystarczająco rozumiem niuansowe zawiłości bukareszteńskiej sceny politycznej, aby potrafić wyrobić sobie mocny pogląd na temat tego, jaki wariant zdarzeń niósłby mniej zagrożeń dla przyszłości Rumunii.

Zresztą każdy, kto czyta gazety wie, iż w dzisiejszych realiach społecznych pogląd na temat rumuńskiego przypadku jest ściśle związany z tożsamościową przynależnością do określonej „bańki”. Europejscy „liberałowie” są zachwyceni odwagą rumuńskich sędziów i oczekują, iż będą oni dalej równie odważni i z góry wyeliminują z następnych wyborów potencjalnie nadal najsilniejszego prawicowego kandydata do prezydentury. Na odwrót do wszelakich europejskich „narodowców”, którzy rwą włosy z głowy nad katastrofą demokracji i „wyborczym szwindlem” w Bukareszcie, jak nazwał rzecz czołowy „narodowy” polski komentator polityczny.

Mnie tu jednak mniej interesuje wartościowanie tego, co wydarzyło się w Bukareszcie, a bardziej namysł nad wykraczającymi poza Rumunię konsekwencjami tamtejszych zdarzeń. Rzecz bowiem w tym, iż rumuński przypadek jest precedensem w unijnej Europie, a co więcej – ów precedens wydaje się dobrze wpisywać w mocne trendy, podminowujące dotychczasowy kształt polityki na naszym

kontynencie. W unijnej Europie zdarzały się już – co prawda – głośne przypadki faktycznego, choć nigdy formalnego, „unieważniania” wyników ogólnonarodowych referendów, zwłaszcza gdy te wyniki (jak we Francji, Niderlandach, a potem Irlandii) blokowały traktatowe postępy integracji. Ale co innego swoista zmowa elity politycznej jakiegoś kraju, aby „pracować nad narodem”, tak by ów poddał się idei paneuropejskiej, a co innego arbitralne pozbawienie konkretnej zwycięskiej partii czy polityka jego prawa do objęcia władzy po wygranych wyborach.

FELIETON: Dariusz Gawin – Trianon, sto lat później

W pamięci mam tylko jeden taki incydent, ale w niczym nie podobny do przypadku rumuńskiego – to landowe wybory w Berlinie z 2021 roku, unieważnione rok później przez niemiecki Trybunał Konstytucyjny. W rezultacie tamtej wyborczej powtórki nastąpiła zmiana zwycięzcy: socjaliści stracili władzę, a zdobyli ją chadecy. Ale po pierwsze – szło o wybory regionalne, nie mające aż tak kluczowego znaczenia dla państwa. A co ważniejsze, po drugie – w Berlinie udowodnione zostały przypadki fałszerstw wyborczych, polegających m.in. na braku kart i fałszywych spisach wyborców, zaś sędziowie mieli w ręku co najmniej trzy przypadki, w których stwierdzono liczbową różnicę pomiędzy głosami oddanymi i ogłoszonymi wynikami. Krótko mówiąc, w Berlinie mieliśmy do czynienia z powszechnie przyznawanym w Niemczech zafałszowaniem wyniku wyborczego, niekoniecznie intencjonalnym, ale być może wywołanym skrajnym chaosem organizacyjnym, z czego – o paradoksie – od jakiegoś czasu słynie niemiecka stolica.

Czym innym jest przypadek rumuński. Z wiedzy dostępnej w domenie publicznej wynika bowiem, iż nie padły tam żadne zarzuty dotyczące swobody głosowania, aktu liczenia głosów, czy publikacji wyników.

Zatem, w zwykłym rozumieniu tego słowa, rumuńskie wybory prezydenckie zostały przeprowadzone rzetelnie. A dwa zarzuty podniesione przez Sąd Konstytucyjny dotyczą delikatnej, czy wręcz niemożliwej do precyzyjnego zbadania sfery kształtowania się woli rumuńskich wyborców. Wpływ bowiem miała na nich wyrzecz zorganizowana propaganda na rzecz prawicowego kandydata, prowadzona na TikToku przez płatnych „influencerów”. Być może częścią tej propagandy sterowały automaty (tzw. „boty”), ale zdaje się, że nawet na to nie ma dostatecznych dowodów. A oczywiście sednem sprawy jest podejrzenie, iż inspiracja (a być może i pieniądze) szły z Moskwy, gdyż ów prawicowy kandydat mówił w kampanii rozmaite rzeczy wygodne dla moskiewskich interesów. I o ile 2 grudnia rumuński sąd, jak zwykle w takich razach, stwierdził po prostu swobodę samego aktu głosowania i rzetelność liczenia głosów, tym samym uznając ważność wyborów, to 6 grudnia rozszerzył zakres swojego badania na sferę kształtowania się woli wyborców, a w efekcie wywrócił do góry nogami swoją własną decyzję sprzed czterech dni.

No i tu właśnie pojawia się ów rumuński kłopot, związany z takim rozszerzeniem zakresu badania ważności wyborów. Po pierwsze – w masowych głosowaniach wola większości zawsze kształtuje się pod wpływem jakichś technik manipulacji, a fachowi „spin-doktorzy” doprowadzili współcześnie owe techniki niemal do granic perfekcji. Po drugie – nie ma już w świecie zachodnim takich wyborów, na które nie próbowałyby oddziaływać tzw. „farmy trolli”, płatnych, albo po prostu sfanatyzowanych, o czym, nie sięgając daleko, mogliśmy już przekonać się także w Polsce. Po trzecie – technologie manipulacji za pomocą botów czy sztucznej inteligencji rozwijają się w takim tempie, że nawet najbardziej sprawne i scyfryzowane państwa nie są, i coraz bardziej nie będą w stanie im przeciwdziałać. No i po czwarte – Moskwa stała się państwem otwarcie wrogim, które używa i będzie używać swego

potencjału technologicznego do siania zamętu, kształtując poglądy, emocje i wolę obywateli krajów demokratycznych w duchu korzystnym dla moskiewskich interesów. Sowiety robiły to już wiele lat temu z perfekcyjną skutecznością w Niemczech czy Francji, dlaczego więc teraz miałaby Moskwa tego nie robić, dysponując o niebo lepszymi po temu narzędziami? Zdekonspirowana nie tak dawno duża kremlowska operacja „Doppelgänger” jest tu zresztą twardym i empirycznym dowodem.

Jan Rokita – felieton „Dylematy euro-zbrojeń”

No ale skoro tak, to wniosek z tego płynie jasny. Jeśli ważność bądź nieważność wyborów w krajach demokratycznych ma teraz zależeć od nieuchronnie ocennego badania „poprawności” bądź „niepoprawności” sposobów kształtowania woli wyborców – to przy odrobinie złej woli można będzie unieważnić każde uczciwie przeprowadzone głosowanie. A ta odrobina (i przecież dużo więcej) złej woli towarzyszy rywalizacji o władzę zawsze i wszędzie. Zawsze ktoś ma interes w unieważnieniu wyborów, więc jeśli ów nieuchwytny czynnik miałby odtąd to umożliwiać, to zawsze ktoś się na niego powoła. Rzecz jednak w tym, że dokładne i rzetelne wyniki głosowania – to jak wiadomo fundament i mit założycielski demokracji. A na zbiorowej wierze w rzetelność liczbowych wyników trzyma się cały gmach ładu demokratycznego, w którym jeden głos policzony w tę, albo w tamtą stronę, może decydować o władzy i kierunku politycznym kraju (by przypomnieć polskie doświadczenie upadku rządu Hanny Suchockiej jednym głosem i odzyskanie w efekcie władzy przez komunistów).

To wszystko – to jednak dopiero połowa rumuńskiego kłopotu. Druga połowa to ów trend, albo raczej dwa trendy, dziś już łatwo rozpoznawalne dla każdego, kto choćby trochę śledzi kierunek ewolucji

współczesnego modelu demokracji. Jedna rzecz – to coraz bardziej nachalne, a zarazem coraz skuteczniejsze przejmowanie zwierzchniej władzy politycznej w państwach demokratycznych przez sędziów, od Wielkiej Brytanii, poprzez Hiszpanię i Niemcy, aż po Polskę, a teraz Rumunię, nie mówiąc już o uroszczeniach unijnego Trybunału Luksemburskiego, który z premedytacją wchodzi w rolę najwyższego suwerena, jaką na naszym kontynencie sprawował niegdyś rzymsko-niemiecki cesarz. A rzecz druga – to widome oznaki tego, iż tzw. „obóz liberalny” (niezależnie od zniekształconego znaczenia tego przymiotnika) w Europie ma coraz silniejszą pokusę, by użyć różnorodnych form przemocy dla ratowania swej dotychczasowej hegemonii, zagrożonej wzrostem sił Nowej Prawicy. Ciekawych historii mamy tu ostatnio bez liku, od zdumiewających deklaracji szefa niemieckiej tajnej policji, który uważa, że misją jego instytucji jest „zmniejszanie wyników wyborczych” niemieckiej prawicy, aż po nowatorski koncept polskiego premiera, aby prawicę „wziąć głodem”, wyłączając ją z przysługującego innym partiom prawa do publicznego finansowania.

Jeśli jednak wszystkie tego rodzaju narzędzia ograniczonej przemocy spaliłyby na panewce, a czołowych liderów prawicy nie udałooby się wyeliminować nawet za pomocą procesów karnych (nie udało się to w Ameryce, zobaczymy czy się teraz uda we Francji), to precedens rumuński otwiera tu ścieżkę nową, bardziej radykalną i absolutnie efektywną. No... przynajmniej dopóty, dopóki w którymś z krajów jego zastosowanie nie doprowadzi do prodemokratycznej rewolucji. I rzecz nadzwyczaj praktyczna: unieważnienie wyborów, które panującemu establishmentowi odbierałyby władzę, nie jest rzeczą trudną. Wymaga tylko sędziów, którzy dostrzegą w tym okazję do skokowego zwiększenia swej przewagi nad światem politycznym i ulegną pokusie zaprowadzenia ustroju kastowej suwerenności jurysdykcyjnej. No i

wymaga polityków, zainteresowanych sądowym zbadaniem tego, kto i w jaki sposób miał czelność oddziaływać na emocje i umysły wyborców tak, iż „wypaczył” treść *volonté générale*, by uderzyła ona w dotychczasowego hegemonia. Nie ma dwóch zdań, że takich sędziów i takich polityków mamy i mieć będziemy w Europie pod dostatkiem. Muszę tu jednak się przyznać, że moje własne przywiązanie do obecnego, mocno znieprawionego kształtu demokracji, jest ciągle spore, choć nie bezgraniczne (w przeciwieństwie choćby do Marka Cichockiego, który ostatnio wyznał, iż „demokratyczny wybór jest istotą polityki”). Więc też bez strachu, a raczej z intelektualnym zaciekawieniem stawiam sobie pytanie, czy aby rumuński precedens nie okaże się milowym krokiem, jaki właśnie uczyniliśmy w stronę cichego pozbycia się owego, jak się zdaje, coraz bardziej nielubianego w Europie ustroju?

Jan Rokita

Wszystkie felietony Jana Rokity z serii „Z podbieszczadzkiej wsi”